Rok szkolny 1935/36 zeszyt 2

„Nasze boisko...”



Kościół OO. Dominikanów w Żółkwi.

LWÓW 1936
WYDAWNICTWO OO. DOMINIKANÓW

ZESZYT WYCHOWANKÓW OO. DOMINIKANÓW W ŻÓŁKWI.

„Nasze boisko...“

LWÓW 1936
WYDAWNICTWO OO. DOMINIKANÓW

Wydane na prawach manuskryptu.

Z drukarni dominikańskiej — Lwów.

Od Redakcji.

My chcemy walczyć! — My walczyć musimy, chociażby tylko dlatego, że jesteśmy ludźmi i jako tacy, nosimy już w sobie dwie przeciwne natury, które liczne z sobą staczają boje; jedna to natura zmysłowego ciała, a druga niematerjalnego ducha. Od tych bojów zaciętych i walk nieuniknionych zależy ludzkie szczęście tego i tamtego świata.

My chcemy walczyć dla idei Boga i Polski, a nim wkroczymy w szeregi bojowe (obecnie, tylko ich przyszłością jesteśmy) musimy się ćwiczyć! Musimy nie „paść, albo zwyciężyć,“ lecz tylko zwyciężyć musimy.

Niedawno, naszym młodym, kształtującym się dopiero duchem wkroczyliśmy na „Nasze Boisko“ i tam wykonaliśmy ćwiczenie, które ma nam zapewnić nasze zwycięstwo. Jak publiczność trybuny sportowego stadjonu przyjmuje zawodników walczących o siłę ciała oklaskami uznania, tak i nam je przesłano (listy) w walce o siłę ducha...

Dziękujemy za nie i zapewniamy, że nie poszły one na marne, że były one i są nam zachętą do dalszych, skuteczniejszych wysiłków. Urabiamy dalej moc swych dusz, czego dowodem niech będzie ten drugi zeszyt „Naszego Boiska“.

Czytelniku! gdy spojrzysz w nasz numer, gdy przypatrzysz się naszym ćwiczeniom, to nie bierz ich za jakiś wspaniały występ, lecz tylko jako ćwiczenie na przyszłość, gdyż teraz... jesteśmy jeszcze tylko młodzieżą, a dopiero przyszłość do nas należy.

Wy Koledzy, wyjdźcie ochotnie do pracy na „Nasze Boisko“! Ćwiczcie się! Bój nieunikniony Was czeka! Kto zwycięży? Nieśmiertelny duch, czy śmiertelne ciało? Niech znikną przed nami te pytania, a niech pozostanie tylko twierdzenie pewne, niezmienne: DUCH zwycięży.

Naświetlania Ewangeliczne.

„Jeśli kto będzie chciał czynić wolę Boga, dowie się o nauce mojej, jeśli jest z Boga, czy ja sam z siebie mówię“ (Jan VII, 17).

Wielu wahających się w wierze, stojących może nieraz u drzwi kościoła i niemogących się zdecydować, aby do niego wejść i na całego się Bogu oddać, wielu takich czeka, aż im się trudności wyjaśnią, aż zrozumieją prawdy wiary, przekonani, że wtedy z łatwością krok stanowczy zrobią. Jest to mylne mniemanie: prawd wiary żaden umysł stworzony nie zrozumie, boć one są tajemnicami ukrytego przed nami Życia Bożego, przekraczającemi nieskończenie pojętność naszego rozumu. My możemy tylko, przyjąwszy je w pokorze od Boga, pojąć że nie są one czemś niemożliwem i niezrozumianem, a jednocześnie ujrzeć ich cudowną harmonję wewnętrzną, ich nieskończoną wartość życiową i ten bezmiar szczęścia, który w sobie zawierają. — Ale do tego nie dojdziemy, przyglądając się im zzewnątrz, nie, je trzeba przywdziać, jak mówi św. Paweł, trzeba zacząć niemi żyć, a wtedy staną się coraz jaśniejszemi, a jednocześnie coraz droższemi. Tak samo zresztą dzieje się i w innych dziedzinach: nikt nie nauczy się z książki ani grać na skrzypcach ani jeździć konno. Trzeba codzień skrzypce brać do ręki i smyczkiem po nich wodzić, trzeba codzień dosiąść konia i poharcować na nim, a jednej i drugiej umiejętności sczasem się nabierze, nawet nie otworzywszy książki. Św. Franciszek z Asyżu ujął tę prawdę w przepiękną formułkę: „Quanto fa, tanto sa“, co znaczy: ile robisz, tyle wiesz albo umiesz.

Nie inaczej jest i z samą wiarą. Boskiego jej pochodzenia nikt nie pojmie, kto nią żyć nie zacznie. Dopiero kto będzie chciał czynić wolę Bożą, ten dowie się, bo na sobie samym doświadczy, że ona jest z Boga i że do Boga prowadzi. Im wierniej będzie się trzymał jej nakazów, tem jaśniej będzie mu oświecać duszę, tem silniej będzie go porywać w górę, tem głębiej będzie przeistaczać jego du-

szę. Znikną wszelkie wahania i wątpliwości i życie jego duchowe stanie jak na opoce.

„Kto czyni prawdę, przychodzi do światłości, aby się okazały sprawy jego, iż w Bogu są uczynione" (Jan III, 20).

O. Jacek Woroniecki O. P.

NIERAZ.

Nieraz — gdy wrzawa już ucichnie dzienna,
Gdy noc nastanie — milcząca, skrzydlata,
W gwiaździste niebo leci myśl płomienna,
Bo za wysoką jest dla tego świata!
Tam w niezmierzonym, bezbrzeżnym błękicie,
Wkoło komety snują się z szelestem...
Wtenczasto własne we mnie tętni życie,
Wtenczas dopiero samym sobą jestem!
Palce na struny mojej lutni kładę,
Gdzieś w bezgraniczne zapatrzony ciemnie,
Wokoło gwiazdy płoną — takie ładne;
One już biegnąć nie mogą bezemnie,
Ja bez nich pisać już nie mogę pieśni,
Takeśmy z sobą wiecznie połączeni
I całe życie w gwiazdach mi się prześni
Wśród gigantycznych rozrzucone cieni.
Już oderwany od świata zupełnie
Lecę, a wkoło same gwiazdy płoną,
Same się świecą księżycowe pełnie —
Nieskończoności śpiewam pieśń szaloną!

Janusz Bednarski.

Sylwetka Janusza Bednarskiego na tle jego utworów*).

Janusz Bednarski urodził się w Krakowie, 19 listopada 1891 roku; w Krakowie wzrastał, Kraków wykołysał mu

*) Miałem do dyspozycji źródło p. t. „Wiersze i proza" Janusza Bednarskiego, wydane i zaopatrzone wstępem Dr. Józefa Ujejskiego. (Kraków, Skład Główny w księgarni G. Gebethnera i Sp., 1910).

duszę poetycką, wszczepił w nią „głęboko wszystkie swe idealne korzenie, nadewszystko trzy: wiarę, narodowość i sztukę“ (dr. Józef Ujejski). W Krakowie Janusz użyźniał swą duszę (uczęszczał do gimnazjum św. Jacka), aby nie zaginęły owe zarodki w jego duchowej glebie, aby z owych korzeni idealnych wyrósł olbrzym; Janusz karmił owe korzenie poezjami Ujejskiego (dziecinne naśladowania), poezjami Juljusza Słowackiego (od IV kl. gim. pozostaje pod wpływem Słowackiego); bogatą jego duszę karmiła atmosfera rodzinna.

Chociaż niedługi był pobyt Janusza na ziemi, to jednak w tak krótkim czasie potrafił on zdobyć takie bogactwo ducha, które godną być może dla nas młodzieży i jego rówienników spuścizną. Janusz był bogaczem ducha. Bogactwo swe złożył własną pracą i własnym wysiłkiem. Od najwcześniejszych swych lat składał w „skarbonce sztuki“ swe talenty i procentował je anielskiem życiem i modlitwą.

Był on przedewszystkiem poetą, ale żadną inną sztuką nie pogardzał; inne sztuki też miłował; „sztuka jest jakby skarbonka o pięciu otworach, przez którybądź otwór wrzucisz pieniądz, zawsze jednakowo wzbogaci się wnętrze: dusza ludzka (list Janusza do kolegi).

Janusz już tu na ziemi był aniołem; duch jego na niewinnych skrzydłach ulatał ku Bogu. W samotnych swych wycieczkach zachodził do kościołów, których wiele jest w Krakowie i tam gorąco się modlił. Często wychodził też poza miasto na łono przyrody. Bardzo kochał on swe miasto rodzinne, kochał wszystko co w niem było polskie, kochał on także i całą przyrodę, cały świat kochał, bo przecież i tam znajdował świątynię swego Pana:

„A chcecie widzieć kościół mego Pana“ — pisze w wierszu p. t. „Młodość.“

„Posadzka z kwiecia utkana,
„Spójrzcie! — Filary — to dębów gromady,
„Z tęczy — arkady;
„Lampy z korali na każdym filarze,

„Z kryształu szyba barwiona,
„Z róż baldachimy, a z głazu ambona,
„Ze słońc ołtarze!
„W tym najpiękniejszym kościele,
„Modlę się często i wiele!“

Janusz modlił się i korzył często przed Panem: „Boże jakże wielkim jesteś! A mnie jak dobrze w prochu przed Tobą, Boże mój wielki“ (Dzienniczek z 13 XI 1907 r.). Modlił się i dziękował Panu za wszystko:

„Dzięki Ci, Panie za młodość tak piękną
„I taką szczytną,
„I za pieśń każdą z serca wyjętą,
„Co lśnią i kwitną. —
„Dzięki Ci, Panie, za natchnień potęgę
„Wielką i ciemną.
„Dzięki Ci, Panie, żeś przyrody księgę
„Otwarł przedemną,
„Żeś mnie na wielkość stworzył i śpiewanie,
„Dzięki Ci, Panie!“ („Młodość“).

„Żeś mnie na wielkość stworzył...“ Wyczuwał on w sobie ową wielkość, on ją znał, on ją w sobie odkrywał:

„Czy ty wiesz o tem,
„Jaki duch w tobie gości,
„Że sny przyszłości
„Płoną ogni rojem
„Nad sercem twojem
„Złotem...?“

Poznawał on przeznaczenie swe świecznika:

„Że harfa twa głośno zajęczy,
„Że gromy przywtórzą jej grzmotem,
„Że echo w sercach odjęczy...
„Czy ty wiesz o tem?“

Pomimo świadomości swej potęgi ducha, pomimo tego, że Janusz był już, jak na swoje lata na szczytach doskonałości, to jednak w swej zadziwiającej pokorze pisze

w liście do kolegi: „Zawsze mam w pamięci przemądre zdanie z ewangelji św.: „Jeśliś jest doskonałym, staraj się być doskonalszym“. Staram się o to zawsze tembardziej, że wcale doskonałym nie jestem“; i piął się w swej szlachetnej dumie, w swej żądzy duchowego bogactwa coraz wyżej.

W swem doskonaleniu się nie zapominał także o swoich kolegach. Zawsze podawał im swą dłoń pomocną; było to już jego naturą: „Mam już taką naturę“ — pisze on do kolegi — „że jak cokolwiek dobrego się nauczę, to tak długo nie mam spokoju, aż kogoś nie nauczę tego samego“.

Kilku miał Janusz przyjaciół i z nimi też nieraz rozmawiał i urządzał przechadzki, lecz innymi też nie pogardzał, a szczególnie gdy widział kogoś w potrzebie. W dzienniczku swym, do którego wielką przykładał wagę, w który wkładał swą duszę, o obcowaniu z innymi tak pisze: „Metoda obcowania tylko z lepszymi jest błędną, bo jeśliby się jej wszyscy trzymali, to choć wszyscy gorsi szukaliby lepszych, to zato ci wszyscy lepsi gorszych od siebieby odtrącali i tak u nikogo nie możnaby znaleźć pociechy i polepszenia moralnego. Jeśli sami nie obawiamy się od gorszych popsuć, powinniśmy z nimi przestawać, aby ich poprawić. Bo wystaw sobie położenie takiego, który czuje swą niskość, szuka ktoby mu rękę podał, ale nikt mu jej nie podaje, albo dlatego, że nie widzi, zajęty własnem doskonaleniem się, albo brzydzi się tą ręką, bo ona wyciągnięta z bagna i powalać może. Ale jeśli mu nikt ręki nie poda, on zginie. I ze mną cóżby się stało, gdyby się lepsi o to nie troszczyli, a więc tacy, od których byłem gorszy, a oni nie brzydzili się mną i podali mi rękę, jeszcze zanim ich prosiłem o to, bo nie wiedziałem, że tonę. I własnem życiem nauczony, staram się teraz o drugich. Non ignoro malis, miseris seccurrere disco.“

Życie Janusza upływało bez trosk i cierpień. Było to anielskie życie, gdyż anielską duszą było wypełnione, a dusza ta pragnęła szczęścia cnoty i cnotę opiewała (Baśń dramatyczna p. t. „Królowa Śnieżna“), lecz on, oprócz anielskości, był także i człowiekiem, a przynajmniej żył

wśród ludzi, więc musiał doznawać jakichś przykrości. I skarży się Janusz na nie w „Dyssonansach,“ skarży się na jakąś pogardę.“

„Pogardą mi
„Skrwawiono życia dni!
„O Panie, Ty zbliż kres
„Tej pieśni łez.
„O, koniec zbliż,
„Niech rzucę krzyż
„I łez i bólu kraj,
„Porzucić, Panie, daj!
„Wgórę zwróć mój krok;
„Niech Ciebie
„Dziś w niebie
„Ujrzy mój wzrok!“ („Largo Haendla“).

Prosił on Boga, aby zbliżył koniec, aby go zabrał do siebie. Innym razem skarży się na przeciwności:

„Czemu odemnie sny odpędzacie,
„Bierzecie tęcze marzeniu memu
„I obrywacie
„Kwiaty na szacie?
„Czemu?“

Dalej mówi, że dzień miniony był inny:

„O, dniu miniony!
„O, tyś to ,tyś
„Szczęśliwy był...!
— — — — —
„A dziś?“

A w innem miejscu skarży się gorzko i na przeciwności i na łzy i na bole i na cierpienia, jakby się o swą przyszłość obawiał:

„Gdy już dziś dla mnie słońce wiecznie w mgłach,
„Gdy już dziś oczy ciągle błyszczą w łzach,
„Gdy tyle bolu i cierpień na ziemi,
„Gdy wiatr przeciwny łamie skrzydła w pędzie,

„Gdy już tak smutno, gdy już dziś tak źle mi,
„Co później będzie ?“

Nie są to jednak wszystkie skargi Janusza, które tu przytoczyłem, a jednak z tych widać, że cierpiał. Powodem jego skarg nie była jakaś chorobliwość, gdyż o to posądzić go nie można, lecz powodem owych cierpień była tylko wrażliwa dusza poety, potrącana nieuważnemi może tylko przykrościami, gdyż do ostatniego tchnienia nie przechodził on także „żadnych cierpień, przykrości i zawodów w swem krótkiem życiu, oprócz zgonu małej siostrzyczki i brata,“ jak pisze o tem jego autograf dr. Józef Ujejski, a zresztą te bolesne straty nie były przyczyną owych skarg gorzkich, gdyż poprzedzały zaledwie o kilka tygodni jego własny zgon.

Życie Janusza było ciągłą pracą. Janusz nie tracił ani chwili. W owej pracy nad doskonaleniem się i we wspomaganiu bliźnich w potrzebach, zapominał prędko o swych bolach i cierpieniach, o swych niedawnych rozgoryczonych wołaniach :

„O, Panie, Ty zbliż kres !
„I łez i bólu kraj
„Porzucić Panie daj !“

Zapominał o rannym ze swego poematu „Na pobojowisku,“ który wolał pójść za aniołem śmierci, aby już nie cierpieć, zapominał o tem i wtedy z jego duszy wyrywał się okrzyk :

„Ja chcę żyć, mam siły do życia, mam prawo do życia, co więcej mam obowiązek życia !“

Miał on prawo i obowiązek życia, jednak zmarł, mając zaledwie lat 16, dnia 25 lutego, 1908 r., jako uczeń VII kl. gim. św. Jacka, a nagrobek jego błyszczy literami :

„Podobała się Bogu dusza jego i dlatego pokwapił się wywieźć go z pośród nieprawości“ (Sap. IV, 14).

Niechaj więc Janusz Bednarski będzie naszym świecznikiem, świecznikiem młodzieży, „gdy śmierć,“ jak mówi dr. J. Ujejski, „nie dozwoliła mu świecić wyżej.“

Niechaj jego czystość ducha, dokładność w pracy, oszczędność czasu, szlachetna żądza doskonalenia się, służenia bliźnim, miłość Ojczyzny, jej zabytków i jej Wiary będą dla nas przykładem!

Marjan Szkudłapski
kl. VII gim.

Marzenia dziecka...

Był poranek majowy. Chłopczyk, było mu Julek na imię, wstał dzisiaj wcześniej, przywdział na siebie odświętne ubranie i przygotowywał się do wielkiej, jak widać było z jego zachowania się, uroczystości. Bowiem w dniu tym miał Julek przystąpić do pierwszej Komunji świętej. Czas Mszy św., podczas której dzieci miały przystąpić do stołu Pańskiego, już się zbliżał. Julek ucałował ojca i matkę w rękę i poszedł do kościoła, gdzie stanął przed ołtarzem, między kolegami.

W kościółku było zupełnie cicho. Nagle głos dzwonka oznajmił rozpoczęcie Mszy św., a na małych organach wiejskiego kościółka wygrywał nauczyciel tych dzieci rzewne melodje. Niewinne dusze rozpływały się w modlitwie, a zewnętrzny ich wygląd przypominał duchy aniołów, cieszących się bliskością Pana Jezusa. Kapłan odwrócił się od ołtarza i przed rozdaniem dzieciom Pańskiego Chleba, przemówił do nich słów kilka. W pamięci Julka utkwiły najbardziej słowa: „W dzisiejszym dniu jesteście Panu Jezusowi najmilsi i najbliżsi i o cokolwiek Go poprosicie, nie odmówi wam".

Julek prosił dziś Boga o jedno, a mianowicie, ażeby rodzice zechcieli go dać do szkół i ażeby się mógł wykształcić na misjonarza. Julek często modlił się za czarnych braciszków i jedynem jego marzeniem było dostać się gdzieś w dalekie kraje między murzynów i tu poświęcić się dla nich.

Widział siebie już w gorących krajach jako misjonarza z długą brodą, w białej szacie, z słomianym kapeluszem

na głowie, kroczącego bosą nogą, tak jak Chrystus Pan, od wioski do wioski, nauczając czarnych braci miłować Chrystusa. Przewidywał też i cierpienia misjonarza, o których już wiele słyszał od ks. katechety i czytał w pisemkach misyjnych. On był szczęśliwy, że będzie mógł cierpieć głód i pragnienie, a może... może ten dziki lud nie zechce zrozumieć nauki, głoszonej przez niego i może w okrutny sposób zamęczy go. Julek gotów był wszystko znieść, byleby tylko pójść hen... daleko, nawracać swych czarnych braci.

Julek zwierzał się często swoim rodzicom z tych zamiarów. Matka, słuchając pilnie synka, ocierała tylko łzy, a ojciec tłumaczył sobie plany jego jako dziecinną fantazję i był pewny, że syn jego zmieni zamiary, gdy tylko zacznie poważniej myśleć.

Od tego czasu minęło wiele lat. Julek został misjonarzem. Dawno już opuścił dom rodziców, a teraz jako O. Ksawery przebiegał „czarny ląd". Wiele on już dusz nawrócił do Chrystusa i dużo zdziałał dla ulepszenia doli dzikich pogan. Czarni polubili go bardzo, otoczyli go wielkiem przywiązaniem i nazwali go „białym ojcem".

***

O. Ksawery zwraca się od ołtarza do swoich katechumenów i nowonawróconych i mówi do nich: „Bracia, o cokolwiek szczerze prosić będziecie Jezusa i Marję, nie będzie wam odmówionem".

Zygmunt Limberger kl. VII.

ZŁOTE MYŚLI.

„Jak grudka śniegu, staczając się z niebotycznej góry, wyrasta w olbrzymią lawinę, tak w naszym domu drobne cnoty zrodzą wielkie czyny". (Bolesław Prus).

„I nie wiem co rozkoszniejsze, czy grać sercem, czy modlić się przy sercach". (Janusz Bednarski).

„Pan Bóg daje orzechy, ale ich nie rozgryza". (Goethe).

„Wierzysz, że się Bóg zrodził w betlejemskiem żłobie,
Lecz biada ci, jeśli nie zrodził się w tobie". (Mickiewicz).

Wspomnienia z Nowogródka[1]).

Dnia 25 lipca 1935 r., podczas ostatnich wielkich wakacyj, było to w czwartek popołudniu, przybyłem pociągiem pośpiesznym od Warszawy do Stołpców. Z polecenia przełożonych miałem tu w następną niedzielę wygłosić kazanie ku czci Wielebnego Sługi Bożego Fabjana Maliszowskiego, dominikanina i przeora tamtejszego klasztoru, zmarłego w opinji świątobliwości dnia 12 sierpnia 1644. Fabjan, przez miejscową ludność „świętym" zwany, odbiera wielką cześć i coraz głośniejszem staje się jego imię w całej Polsce, tak, iż można mieć nadzieję, że niedługo już, a zostanie wyniesiony na ołtarze Pańskie, wschodnie zaś kresy nasze otrzymają w nim nowego Patrona i Orędownika u Boga.

Miałem jeszcze dwa dni czasu do uroczystości w Stołpcach; postanowiłem go wykorzystać przez zwiedzenie wojewódzkiego miasta Nowogródka, oddalonego od Stołpców o jakie 80 klm. Ze względu na dość niedogodną komunikację kolejową, zdecydowałem się odbyć podróż autobusem.

A więc następnego dnia, w piątek rano, „punktualnie" o godzinie 6-tej wyruszyliśmy z rynku stołpieckiego. Podróż zapowiadała się znakomicie; pogoda cudna, słońce przygrzewało od samego rana, ani jednej chmurki na niebie. Droga doskonała, więc popędziliśmy szybko naprzód, minęliśmy wspaniały nowoczesny most na Niemnie i już Stołpce znikły nam zupełnie z oczu. W miarę jednak oddalania się od Stołpców, dawały się „odczuć" coraz to gwałtowniejsze i częstsze wstrząsy i huśtania naszego autobusu; ku wielkiemu zdziwieniu stwierdzamy, że wóz nasz nie „sunie" już po gościńcu, jak poprzednio; nagle bowiem gościniec się „urwał", a przed nami ukazuje się zwykła, szeroka (miejscami na jakie 20 m.) droga polna, pełna

1) Obszerniejsze wiadomości o Nowogródku por. Słownik Geogr. tom VII, str. 255-263.

wyboi, pagórków i dolin. Dalsza jazda była prawdziwą męczarnią, każdy z utęsknieniem wyczekiwał jej końca. Zaznaczyć wszakże należy, że drogi te dostały się nam w spuściźnie po zaborcach, obecnie zaś na całej nieomal trasie pomiędzy Stołpcami a Nowogródkiem wre gorączkowa praca nad naprawą dróg i ulepszeniem komunikacji.

Jadąc tak, gdzie niejednokrotnie głowy pasażerów sięgały sufitu autobusowego, a niektórzy, mniej do takiej jazdy zaprawieni goście, zdradzali przejawy choroby morskiej, dotarliśmy do starożytnego miasteczka Mir[2]). Tutaj nastąpił przystanek pierwszy „obowiązkowy" i to dość długotrwały, ponieważ obsługa autobusu „spożywała śniadanie;" tymczasem przybywają „nowi goście" i wnoszą olbrzymie tłumoki i pakunki z „towarem." Wreszcie ruszamy w dalszą drogę, do Nowogródka jeszcze szmat ziemi. Droga sama, podobnie jak poprzednio, była bardzo urozmaicona, prowadziła poprzez szerokie pola, łąki i lasy, do których tak rwała się dusza Mickiewicza:

„Tymczasem przenoś moją duszę utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych,
Do tych pól, malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem,
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka, jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
Zieloną — na niej zrzadka ciche grusze siedzą."

(P. Tad. I księga).

Od czasu do czasu ukazała się oczom naszym także jakaś wioska lub nędzna mieścina. Po godzinie mniejwięcej jazdy zatrzymaliśmy się „na chwil kilka" w miejscowości Turzec[3]), gdzie przysiadł miejscowy nauczyciel a szofer zamienił „tylko parę słów" z posterunkowym, przechwa-

---

2) Mir, starożytne miasteczko nad rzeką Miranką; miasto dość nędznie zbudowane, przeważnie z drzewa, — posiada jednak dość bogatą i piękną historję. Por. Sł. Geogr. tom VI, str. 485-488.

3) Turzec, por. Sł. Geogr. tom XII, str. 666.

lającym się, iż pochodzi z okolic Krakowa, a po wojnie dopiero dostał się w te strony.

Po dalszej niemniej uciążliwej podróży znaleźliśmy się na rynku miasteczka Korelicze[4]). Tutaj znów przystanek „obowiązkowy...“ szofer i pomocnik „spożywali drugie śniadanie,“ a dalsi „nowi goście“ wtłaczają się do autobusu, aż bezmała wóz nie uległ rozsadzeniu. Przypatruję się tymczasem życiu tego miasteczka, dość zresztą brzydkiego i nędznego. Żydówki zamiatają ulice i „chodniki“ przed domami, inne wapnem polewają rynsztoki, fury chłopskie zajeżdżają z towarami na rynek (widocznie był dzień targowy), wszędzie głośno i gwarno, a najwięcej w naszym autobusie. Powoli zaczęli się już goście niecierpliwić, aż... nagle przybywa szofer i przygotowuje się do dalszej jazdy. Kilkakrotnym obrotem korby wprawia on motor w ruch i już ruszamy..., jedziemy do Nowogródka. Lecz i tu droga początkowo nielepsza od poprzedniej. Kiedy znajdowaliśmy się w niewielkiej odległości od Nowogródka, „lasy puszcz litewskich“ stawały się coraz gęstsze, a droga polna znikła i autobus mknął ze znaczną szybkością po nowej wspaniałej szosie.

Aż nagle w miejscu, gdzie kolejka linji Nowojelnia-Nowogródek-Lubcz przecina gościniec, ukazał się oczom naszym wspaniały i nigdy niezapomniany widok panoramy Nowogródka. W miarę, jak zbliżamy się do miasta, obraz staje się coraz bardziej wyrazisty. Już widać na niewielkiej górze potężne ruiny historycznego zamczyska, tuż obok wznosi się druga góra zwana grobem Mendoga, a opodal na okopisku świątyni Peruna dominuje majestatycznie dawny kościół farny, miejsce chrztu Adama Mickiewicza. (Kościół ten fundował podobno Wielki książę Witołd). Pomiędzy górą zamkową, a grobem Mendoga, przebija się szczyt kopca, usypanego niedawno ku czci Wieszcza Narodu.

---

4) Korelicze, starożytne, niewielkie miasteczko, o 3 mile od Nowogródka, leży nad rzeką Rutą, w bezleśnej, choć malowniczej okolicy. Por. Sł. Geogr. t. IV, str. 400-401.

Podczas gdy wzrok nasz zatrzymuje się na tak drogich pamiątkach i skrzętnie szuka coraz to nowych wrażeń, autobus pędzi tymczasem przez ulice miasta ; już znajdujemy się u celu, jest godzina 11-ta !

Goście wysiadają, niektórzy z nich ledwo trzymają się na nogach, inni opowiadają sobie o „wrażeniach" z podróży, ja zaś, postanowiłem nieodwołalnie za żadną cenę nie wracać już autobusem do Stołpców.

Poszedłem nieco dalej, a gdy zorjentowałem się w mieście, udałem się do klasztoru SS. Nazaretanek, gdzie zamieszkałem na czas mego pobytu.

Popołudniu udałem się na zwiedzenie miasta. Zaraz, na pierwszy rzut oka daje się zauważyć, że Nowogródek nie zrzucił jeszcze z siebie śladów zaborczych ; ulice są brukowane kamieniem polnym, nieciosanym, chodniki dość nierówne, wszędzie jednak bardzo czysto i schludnie. Położenie miasta jest bardzo piękne ; leży ono na dość wysokim pagórku, w środku którego znajduje się rynek, ulice zaś, wychodzą prawie wszystkie z rynku i w miarę, jak się od niego oddalają, opadają coraz to niżej. Z miasta roztacza się przepiękny widok na całą, tak malowniczą i cudną, choć nieco rzewną i smętną okolicę.

Pod względem mieszkańców (jest ich tam około 15000) tworzy Nowogródek ogromnie ciekawą i różnorodną mieszaninę. Znaczny procent przypada na prawosławnych Białorusinów, jest też spora ilość mahometan, potomków dawnych Tatarów (dziś już zupełnie spolszczonych), dość liczni są tu Polacy-katolicy, uderza wszakże dość wielka ilość żydów. Ci ostatni noszą często w tamtych stronach nazwiska polskie, albo przynajmniej dodali do swych nazwisk końcówki polskie.

Całe życie miasta skupia się przeważnie na rynku ; znajdują się tam sklepy i kioski.

Tuż obok rynku, po zachodniej jego stronie, zauważam okazałą cerkiew. Przyglądam się jej bliżej, widzę, że to cerkiew prawosławna, ale cała jej struktura i zewnętrzny wygląd wskazują na to, że to jakaś późniejsza

przeróbka; kopuły robią wrażenie, jakby były nasadzone i wcale nie harmonizują z kształtem i całością budowy. W istocie jest to dawny kościół OO. Franciszkanów, ufundowany przez Wk. Ks. lit. Gedymina w r. 1323, a wskutek kasat po 1830 i 1863 r. został zamieniony na cerkiew prawosławną.

Po drugiej, południowej stronie rynku, widzę drugą jakąś świątynię; wygląd i kształt tejże wskazują, iż jest to kościół katolicki. Przybliżam się i poznaję po napisach, figurach i herbie, że to dawny kościół dominikański.

„Barącz na podstawie Narbutta, Szymona Okólskiego i Bzowskegoi twierdzi, — pisze Wołyniak, — że w Nowogródku już za czasów Gedymina Dominikanie bywali, że stąd z Koryatowiczami na Podole podążali, że na kapitule wareckiej w r. 1468 wysłano braci do Nowogródka; ale to są rzeczy, jak się zdaje, niezupełnie pewne, chociaż możliwe"[5]).

Wbrew twierdzeniu Wołyniaka jest pewnem na podstawie listu Gedymina, że już za czasów tego Ks. lit. byli i pracowali Dominikanie w Nowogródku i mieli tamże swój kościół, inny wszakże od późniejszej fundacji Chodkiewicza. Słusznie więc dalej mówi Wołyniak: „Od pierwszej jednak ćwierci XVII w. pobyt tam Dominikanów faktem jest historycznym; mianowicie Krzysztof Chodkiewicz, koniuszy litewski, zmarły w r. 1652 wojewodą wileńskim, sprowadził ich tutaj po r. 1623, wybudował im kościół z początku podobno drewniany, a potem przez przełożonych klasztoru z muru wzniesiony... W połowie 1850 r. zniesiono klasztor; Dominikanie parafji tu nie mieli, ale do ich kościoła przeniesiono parafję z fary około r. 1857, przeznaczając piękną tę świątynię, ze wspaniałym pomnikiem poległych pod Chocimem w 1621 r. na powolne zniszczenie i ruinę..."[6]).

Przy tym klasztorze prowadzili Dominikanie szkołę

5) Wołyniak, wiadomości o dominikanach prowincji litewskiej, tom I (r. 1917), str. 137-138.
6) Wołyniak, tamże str. 138-139.

publiczną, do której wraz z swym bratem Franciszkiem uczęszczał Adam Mickiewicz. „Była to szkoła jeszcze typu klasztornego, którą utrzymywali i w której uczyli wyłącznie księża dominikanie. Nauczanie było tradycyjne, ale zakonnicy, oddani swoim wychowankom, zyskiwali wrazem ich ufność i przywiązanie. Z czasów szkolnych Mickiewicza dochowały się wiadomości, stwierdzające, że był on dobrym uczniem, że (wraz z bratem Franciszkiem) otrzymywał listy pochwalne i nagrody, że po wizytacji ks. Adama Czartoryskiego pomieszczono nawet nazwiska ich obu w kalendarzyku na r. 1809, zawierającym spis szkół, nauczycieli i uczniów celujących. Poza tem wiemy również, że Mickiewicz odznaczał się nadzwyczajną pamięcią — lekcyj uczył się, słuchając tylko uczącego się brata — że miał mir i poważanie wśród kolegów..."[7])

Następnie udałem się na zwiedzenie dworka szlacheckiego, w którym zamieszkiwał Mickiewicz w czasie swego pobytu w Nowogródku. Dziś, dworek ten leży jeszcze, jak niegdyś za czasów naszego Wieszcza Narodu, wśród pięknej, soczystej zieleni ogrodowych drzew, traw i klombów, dziś jeszcze, jak dawniej roztacza się stąd piękny widok na te pola „zbożem wyzłacane," na te łąki „szeroko rozciągnione" i na te bory litewskie „niezbadane," wszystko tak jak dawniej, tylko sam dworek się zmienił. Podług fotografji z przed kilku zaledwie lat, jest to domek drewniany, taki prawdziwy dworek szlachecki, a dziś bieli on się zdala okazałemi ścianami i choć forma jego ta sama, ten sam ganeczek, to jednak on taki jakiś inny.

I dużo jeszcze było w owem mieście do zwiedzenia, które jest stolicą tej ziemi, gdzie, jak znajdujemy w encyklopedji wydania Macierzy Polskiej, „Anielskie lata dzieciństwa spędzał Mickiewicz na łonie rodziny zbożnej, wśród ślicznej przyrody nowogródzkiej, jej łanów złotej pszenicy, i srebrnego żyta, jej szumiących borów i lasów, wśród ludu wiejskiego, którego pieśni i powieści piastowały duszę pa-

---

7) Literatura polska wieku XIX, Manfred Kridl, część II (1931), str. 26.

cholęcia i wypiastowały zeń późniejszego, orlich lotów narodowego piewcę;" czas mi nie pozwalał na dłuższy pobyt i musiałem powracać, lecz wspomnienia tych chwil pozostaną na długo w mej pamięci.

O. Dr. Sadok Maćkowiak O. P.

„Myśmy przyszłością narodu."

Każda budowla, aby była trwałą, musi mieć silne i zdrowe podwaliny. Każde drzewo, chcące się zabezpieczyć przed runięciem za lada podmuchem, musi swe silne korzenie głęboko zapuścić w ziemię, musi dobrze *utrwalić* swe podstawy. Państwo każde, każde społeczeństwo, czyż nie jest właśnie budowlą z małych cegiełek — jednostek, czyż nie jest owem drzewem rozgałęzionem?

Dziś każde państwo rozumie doskonale, że dach państwa może być wtedy silny, konary olbrzyma państwowego wtedy pewne, kiedy podmurowanie, kiedy korzenie będą mocarne. Dziś każde państwo wie, że temi podstawami jest młodzież.

Dlaczego właśnie młodzież, spytacie? Przedewszystkiem dlatego, że młodzież jest zaczątkiem starszego pokolenia. Jak każda roślina wyrasta, wydaje owoce, aby z nich powstało więcej takich roślin, aby one utrzymały gatunkowość rośliny, tak każde pokolenie państwa zostawia po sobie nasienie, które musi najpierw być w ziemi zdrowym korzeniem, aby wyróść na wspaniałą roślinę. Młodzież przeto jest owym zarodkiem pokolenia starszego, jest podstawą państwa, którą trzeba wzmacniać szczególniejszą opieką, a która sama musi czerpać pokarm podany, by spełnić przyszłe zadanie.

Roślina wydaje owoce, sama je zasiewa, sama dostarcza im pokarmu, by one wyrosły, wydały plon stokrotny i stały się potęgą swego rodu roślinnego. Ową rośliną to nasze starsze pokolenie, które nas zasadziło na tej ziemi-matce, byśmy wyrośli na chwałę państwa, gdyż naszym obowią-

zkiem róść, korzystać z ich wysiłków ofiarnych, naszym obowiązkiem stać się pożyteczną jednostką.

W zdrowem nasieniu rośliny jej przyszłość, w zdrowem nasieniu państwa, jego potęga i wieczne istnienie. „Myśmy przyszłością narodu.“ Zdrowa młodzież, zdrowe, silne państwo-naród, — wątła młodzież, wątły przyszły naród. „Młodzież jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały, sama choć upływa szparko, cios jej dłuta wiecznie trwały“ — mówi Krasiński. Jaka młodość będzie, taka będzie starość, gdyż „czego się nie nauczył Mikołajek zamłodu, tego się Mikołaj na starość nie nauczy“ (Rej). Z dumą przeto śpiewamy: „Myśmy przyszłością narodu,“ lecz słuszna duma będzie tylko wtedy, gdy wypełnimy swe obowiązki względem państwa, gdy spłacimy swój dług, gdyż państwo o nas się stara i pielęgnuje na swej glebie zasiane nasienie — młodzieży; daje nam najdroższy pokarm: „Bóg i Polska,“ a my jej oddajmy w procencie „Moc.“

Stanisław Filipowski kl. VII.

ZŁOTE MYŚLI.

„Radzić się można z pożytkiem i radzę się często myślących, ale za żadną radą iść mi nie wolno, jeśli ona jest radą, póki się moją własną myślą nie stanie, póki się nie przetransportuje na tonację mej duszy“. (Janusz Bednarski).

„Bądź cierpliwością tą panią niedoli,
Co gmach swój wznosi z niczego powoli,
Bądź tą przegraną, której cel daleki,
A która wkońcu zwycięża na wieki,
Bądź arcydziełem nieugiętej woli“. (Krasiński).

„Prawda to wielka królowa,
Kto ją w przeciwności chowa,
To pięknie zdobi każdego,
Choćby stanu podlejszego“. (Rej).

„Żadna broń tak ciężkiej nie zadaje rany,
Jako język złośliwy, język wyuzdany“. (Potocki).

„Złością nikt jeszcze świata nie zwojował“. (Reymont).

Polacy na Bukowinie.

Bukowina to najbardziej wysunięta na północ kraina Rumunji. Jeszcze niedawno, bo zaledwie przed osiemnastu laty, stanowiła ona część austrjackiej Galicji, a przez to samo i dzisiejszej Małopolski. Obecnie natomiast dzieli ją od Polski Dniestr i Czeremosz, jako rzeki graniczne od dnia 28 listopada 1918 roku. Bukowina, będąc jeszcze pod panowaniem Austrji, stała otworem dla wszystkich, spowodu jej rzadkiego zaludnienia. Wtedy to Austrjacy dawali za bezcen całe połacie lasów i gruntów, byleby tylko móc znaleźć ochotników na jej zaludnienie i zagospodarowanie. Odgłosy tych nadań ziemi nie pozostały bez echa. Znalazły one szeroki oddźwięk wśród ludności ubogiej ; z okolic gęściej zaludnionych cesarstwa austrjackiego, jak np. Śląska i Moraw, ludność poczęła garnąć się z radością do tych borów bukowińskich, bo prócz myśli stworzenia własnego gospodarstwa, nęciły ją jeszcze swobody, jakiemi cieszyli się tamtejsi koloniści. Z wszech stron poczęli ściągać różni ludzie, a pośród nich nie zabrakło także i Polaków. Po niedługim czasie na ziemiach bukowińskich powstało dużo nowych wiosek, położonych przeważnie w dolinach górskich potoków, rzek lub u podnóży gór. Powstał tam także cały szereg osiedli polskich, jak np. Nowy Sołoniec, Plesza, Poiana-Micului, Paltinoasa, Tereblacz itp. Polacy koloniści, bo tylko nimi się zajmiemy, trudnili się i trudnią drobnem rolnictwem, wypasaniem bydła i obróbką drzewa.

Praca jest ciężka, a dochody tak małe, że niejednokrotnie niepodobna się z nich nawet wyżywić. Jest to dola Polaków-kolonistów na „bukowińskich nizinach". A co mają począć górale ? Klimat ostrzejszy, gleba nieurodzajna ; ani pszenicy, ni kukurudzy siać nie można, tylko... tylko zasadzić można tam trochę ziemniaków, trochę posiać owsa lub jęczmienia, a i to w niewielkiej ilości, bo ziemi brak. Lasy są już przetrzebione, nie dają także należytych dochodów, hodowla bydła zmniejsza się przymusowo coraz

bardziej. Ludność ubożeje; niewielkie zagony pól rozpadają się na coraz mniejsze części, tak, że można się o nich wyrazić podobnie, jak o roli polskiej szlachty, że, „jeżeli pies położy się na zagonie, to ogon ma na polu sąsiada“. Najwięcej jeszcze opłaca się hodowla owiec, bo te spędzają czasem całe lato w górach i łasach, a tylko na zimę spędza się je do zagród.

Widzimy przeto, że życie naszych rodaków bukowińskich nie jest tak łatwem. Ale oni, pomimo tego są zawsze weseli i wierzą, że kiedyś będzie im lepiej.

Narodowościowo czują się oni Polakami i wspominają zawsze z tęsknotą te czasy, w których to jeszcze byli na ojczystej ziemi. Czy jednak długo będą o tem pamiętać, to niewiadomo, ponieważ brak im polskich książek, polskich gazet i czasopism, a co jest najgorszem, brak im tego, co Polaków z ojczyzną wieczne łączy, — brak im religijnej pociechy, brak polskich księży.

Dlatego też powinniśmy się nimi zająć i podnieść ich na duchu. Zająć się nimi, to jest jeszcze więcej niż konieczne, bo w ostatnim czasie już nawet Czesi, chcąc działać na szkodę Polski, wpajają w tych Polaków przekonanie, jakoby oni z Czech się wywodzili i przy każdej sposobności urządzają do nich wycieczki, rozdają gazety, książki itp. Temi sposobami chcą oni ich na stronę Czechosłowacji przywieść. Oczywiście naszych rodaków wcale te zabiegi nie przekonują, ale sczasem wszystko możliwe. Szczególnie rzewne bywa powitanie przez tamtejszych Polaków każdego rodaka z Polski, który czasem zawita do nich. Goszczą go „czem chata bogata...“, rozpytują ze łzami w oczach o Polskę, a na odjezdnem proszą, by pozdrowić od nich te przepiękne złociste łany polskich zbóż, barwne kobierce łąk, zieloną ruń lasów i wszystkich... — wszystkich współbraci.

Szwancar Jerzy kl. II gimn.
(bukowińczyk).

Echa przeszłości.

Mijają sekundy, mijają minuty, godziny, dnie, tygodnie i mijają lata całe bezpowrotnie, i... giną gdzieś w mrocznych dalach wieków, a my żyjąc wśród tego topnienia czasu sami zbliżamy się ku końcowi naszej ziemskiej wędrówki.

Idziemy ciągle naprzód, odgłos naszych kroków ginie wraz z czasem, a za nami biegnie tylko echo z przeszłości minionej.

***

Było to w pierwszych dniach września 1935 roku.

Wakacje się skończyły... „Bractwo" poczęło się zjeżdżać do internatu. — Wokoło ruch! — Dzwonek internacki zwiastuje nowego przybysza... Razporazie wtaczają się stosy waliz, kufrów itp. Radość starej wiary kontrastuje z kwaśną minką nowicjuszy, ale... ale i oni staną się wkrótce „starą wiarą internacką".

***

Odtąd dzień w dzień (z wyjątkiem wakacyj) toczy się wesoło długi dwurząd internistów do gimnazjum. A jest ich 63. Prefektem jest O. Dr. Sadok Maćkowiak O. P.

***

Jedziemy do Krakowa. Przed wieczorem 19 września wyjechaliśmy z Żółkwi.

W pociągu nastrój był wesoły. Sen wprawdzie (jechaliśmy nocą) u niektórych zmógł minę uśmiechniętą, taką... po naszemu „frajerską", ale... zato ci, którzy mieli silniejszą wesołość od snu, starali się wyręczyć hałasem śpiących.

Świt zastał nas jeszcze w pociągu, ale już bliżej Krakowa (już za Rzeszowem); ranek natomiast ukazał się nam w Krakowie. Wreszcie ujrzeliśmy wieże kościołów, Wawelu i... spostrzegliśmy sine wody naszej prastarej Wisły.

W Krakowie byliśmy trzy dni. Byliśmy na Wawelu w krypcie św. Leonarda, na Zamku itp., na Skałce, w kościele OO. Dominikanów, N. M. Panny, zresztą byliśmy prawie we wszystkich kościołach, byliśmy na Sowińcu i... byliśmy wszędzie, gdzie będąc w Krakowie być się powinno.

W poniedziałek rano 23 września wysiedliśmy znowu na żółkiewskiej stacji, jednak wrażenia z Krakowa, z jego staropolskich zabytków i polskości pozostały długo w naszych wspomnieniach.

I życzymy sobie choć raz jeszcze oglądać to drogie miasto.

***

Nadszedł dzień 5 października. Dziś przyjeżdża do Żółkwi J. E. Ks. biskup Eugenjusz Baziak i... przyjdzie do nas internistów.

Popołudniu czekaliśmy już na salce rekreacyjnej, ustawieni w szpaler. Ks. Biskup wszedł majestatycznie, a Jego błogosławiąca ręka płynęła wysoko ponad naszemi głowami. Po skromnem przywitaniu J. E. Ks. Biskupa z naszej strony, Ks. Biskup powstał z tronu i począł mówić.

I mówił miękko po ojcowsku i rzeźbił swe słowa w naszych duszach, lecz złotemi i największemi zgłoskami wyryły się słowa:

„Przyszłość przed wami zakryta, ale od was samych zależy."

***

Nazajutrz wstał piękny poranek. Już od samego rana rozkołysały się kościelne dzwony (OO. Dominikanów), zwołując wiernych na uroczystość M. B. Różańcowej.

Uroczystość wypadła znakomicie.

Ks. Biskup celebrował, a służyli mu wychowankowie internatu. Na chórze śpiewał chór gimnazjalny, pod batutą ks. katechety gim. Rogowskiego.

W nabożeństwie i uroczystej procesji po mieście, brali udział przedstawiciele władz i urzędów miasta Żółkwi.

***

Zajęczały żałosne dzwony, a skarżący się zwykle wiatr po cmętarzach umilkł zdziwiony.

Czyżby to powstały ciała umarłe z grobów i włóczyły się po grobach?

Przecież prawie nigdy tu nikogo nie było. Nie byli to umarli, ale byli to żywi na grobach umarłych w dzień Zaduszek.

Cicho było wokoło... Świeczki migotały światłem, a ponad grobami i krzyżami płynęły ciche skargi i prośby... „Wieczne odpoczywanie, racz im dać Panie...“

***

Nadszedł wieczór 6 grudnia.

Zebraliśmy się przed naszą sceną. Wkrótce podniosła się kurtyna i odegrano sztuczkę p. t. „Św. Mikołaj“, kolega ze Lwowa wygłosił monolog — coś ze Lwowa, — chór nasz odśpiewał pieśń na cześć św. Mikołaja i wkońcu... wkońcu „siwy staruszek“ wjechał na scenę na tajemniczym wielbłądzie. Początkowo dużo radości sprawił ów Święty na „afrykańskiem zwierzątku“, lecz wkońcu większą radość sprawiły podarki.

***

Zbliżyły się wakacje Bożego Narodzenia, a ż niemi pierwsze półrocze.

Pojechaliśmy na wakacje ze świadectwami.

Była to jazda z niespodziankami, czyli, że przygotowywane aż przez całe pół roku niespodzianki, jechały teraz z nami po nowe niespodzianki.

***

Dnia 9 stycznia (już 1936 roku) prawie wszyscy wychowankowie powrócili ze świąt Bożego Narodzenia, z nowemi zapasami (pod każdym względem) i z nowemi siłami.

***

W dniach 1, 2 i 8 lutego wychowankowie odegrali „Jasełka“ p. t. „W betlejemską noc“.

Niemała nasza sala stała się niemożliwie ciasną, pomimo tego, że trzykrotnie je powtarzaliśmy.

Jasełka nasze stały się atrakcją dzięki artystom (młodocianym jeszcze), dzięki strojom i dekoracji.

***

...I wszystko to przeminęło, wszystko to zdaje się takie bliskie, takie niedawne, a zarazem też jakieś dalekie, nieuchwytne i już minione. — ? — Tak, dalekie to wszystko co było i bezpowrotne, a jednak tak jeszcze bliskie w naszych wspomnieniach.

— Dawno wszystko minęło i tylko myśl nasza, uchem miłego wspomnienia chwyta owe echa przeszłości.

M. Szkudłapski kl. VII.

ZŁOTE MYŚLI.

„Kto się chce stać wolnym, ten musi być niewolnikiem praw“. (Cycero).

„Każde najmniejsze dobro, czynione drugiemu, jest rozkoszą dla czyniących“. (Władysław Reymont).

„Siła posiadł włości,
Kto ujął chciwości“. (Kochanowski).

„Nie pomogą próżne żale,
Ból swój niebu trzeba zlecić,
A samemu wciąż wytrwale,
Trzeba naprzód iść i świecić“. (Asnyk).

„Nadzieja jest to skarb najdroższy świata,
Bo gdy wszystko uleci, ona nie ulata“. (Janusz Bednarski).

„Pedanterja nie jest bynajmniej zabójstwem ducha; a używana mądrze w rzeczach mądrych, jest podstawą porządku, a co za tem idzie i szczęścia materjalnego“. (Janusz Bednarski).

„Granatowa trójka".

Na terenie naszego internatu powstała w 1928 r. drużyna harcerska. Pierwszym drużynowym, a zarazem założycielem był dh. Zenon Lisowski. Młoda drużyna rozwijała się świetnie i w stosunkowo krótkim czasie uzyskała stopień drużyny przygotowawczej. Drużynowi zmieniali się bardzo często, jużto spowodu matury, jużto z innych powodów. Na początku 1935/6 roku zostaje mianowany drużynowym dh. Szkudłapski Marjan. Drużyna nasza jest podzielona obecnie na trzy zastępy, po 10-ciu członków. Drużyna, urządza prócz obowiązujących zbiórek, także ćwiczenia na wolnem powietrzu. Ćwiczenia te mają na celu rozwinięcie praktyczne tych harcerskich umiejętności, które członkowie przyswoili sobie na zbiórkach swoich zastępów. Cieszą się one wielkiem powodzeniem u d-hów, gdyż mają charakter przyjemnej i emocjonującej wycieczki. Ćwiczenia te zawierają także wiele humorystycznych fragmentów, które są po ukończeniu ćwiczenia przyjemnym tematem do rozmów.

Ćwiczenia polowe są najrozmaitsze, ale bezsprzecznie najprzyjemniejszem ćwiczeniem jest „Kradzież chorągiewek." Polega ono na tem, że drużyna dzieli się na dwie partje, z których każda dostaje po 3 chorągiewki. Chorągiewki te rozwiesza każda partja na swojem terytorjum, i koło każdej stawia strażnika. Oba terytorja są oddzielone jakąś naturalną linją neutralną j. np. drogą, strumykiem i t. p. Teraz jedna partja stara się zabrać drugiej chorągiewki, manipulując jednak tak, aby żadnego jej członka nie schwytano. To ćwiczenie przeprowadziła nasza drużyna w listopadzie ubiegłego roku. Po wybraniu dwóch partyj i zawieszeniu chorągiewek, rozpoczęła się gra. Atak rozpoczęli Biali, którzy zrobili „ruch" na prawem skrzydle, a gdy uwaga Czerwonych skierowała się wyłącznie na ten punkt, strasznie sprytny „Szkud-Junior", zwędził Czerwonym na lewem skrzydle chorągiewkę. Ten „gest" był tak chytry, że strażnik był bardzo zdziwiony, gdy mu powiedziano, że pilnuje pustego miejsca chorągiewki.

A teraz jeden humorystyczny epizod: Przez las skrada się ostrożnie i wychodzi na terytorjum Białych dziwna postać. Zawinięta w długi chałat, w podartym szalu na głowie, bez butów... Ki licho? Wchodzi w las. Po chwili słyszymy wrzaski i dowiadujemy się, że to „Józko“ przebrany za cyganiątko, których tu pełno się włóczy, zwędził Białym chorągiewkę, ale narazie nie może się wydostać. W takie, i inne niemniej wesołe epizody, obfitowało nasze ćwiczenie, które jednak mimo kapitalnego pomysłu Józka, zakończyło się zwycięstwem Białych. Jednak u Czerwonych nie można było widzieć ponurych twarzy. Co najwyżej lekkie strapienie. Bo nasze prawo harcerskie, w myśl, którego staramy się zawsze postępować, mówi, że „harcerz jest zawsze pogodny.“ Dlatego nie wolno było Czerwonym robić tragedji z tego, „że przegrali na ćwiczeniach,“ które jest tylko grą zręcznościową. Każda drużyna powinna się szkolić w tego rodzaju grach, gdyż one wyrabiają w niej te piękne zalety, które każdy harcerz powinien posiadać. Zalety te będą potrzebne harcerzom nietylko w małych harcerskich grach, ale także we wielkich grach życiowych, w których częstokroć będzie szło o życie. W takich wypadkach nie załamią się ludzie, tylko obdarzeni temi zaletami, które w nas wyrabia harcerstwo. Dlatego słusznie wyraził się Naczelny Skaut Lord Baden Powell w swojem orędziu do całego świata harcerskiego, że „harcerstwo, to Wielka Gra“.

napisał *P. Z. „Pinx“.*

Szopenowska muzyka.

Szopen jest w muzyce postacią bardzo oryginalną. Bez dużych studjów potrafił zdobyć wielką sławę tak w kraju jak i zagranicą. Bo też wygrywał on melodje na fortepianie tak, że stawały się one plastyczne. Pod tym względem ma Szopen dużo analogji z Grottgerem. Najlepszem świadectwem tego jest wyraźne odtwarzanie ludzkich charakterów.

Podczas jednego takiego wygrywania charakterów, pewna dama zażądała swego. Szopen w odpowiedzi ściągnął z jej ramion szal i położywszy go na klawjaturze grał dalej. Dał w ten sposób do zrozumienia, że charakter jei jest tak przyćmiony światowemi zwyczajami i błyskotkami jak fortepian szalem, a tak się objawia przez życie zewnętrzne, jak się objawiają tony fortepianu przez szal.

Dzisiejszą szlachetną postać poloneza zawdzięczamy Szopenowi. Mazurka oczyścił ze wszystkiego co niskie i powszednie i wlał powszechne między nami polskie uczucie tęsknoty. Drga ona zresztą we wszystkich jego utworach.

Pierwiastek narodowej nuty widać również w utworach większych, jak w obu koncertach, scherzu h-mol i innych. Preludja, etudy, nokturny, ballady, scherza, polonezy i mazurki, sonaty i improwizacje tak odbiegły od wszystkich w tym rodzaju, dotąd znanych kreacyj, że Schuhmann, który już po fantazji z „Don Juana" przeczuł potężną twórczość Szopena gorąco ujął się za nim w piśmie przez siebie wydawanem. „Co sprawia, że Szopen tak do siebie ciągnie między kompozytorami naszych czasów, — mówi on — to silna wybitna narodowość, która go ożywia, mianowicie polska. A, że ona teraz chodzi w czarnej żałobnej odzieży, więc tem więcej do siebie pociąga, tem silniejsze wywiera wrażenie przez muzykę głębokiego mistrza. I gdyby potężny samowładca na północy wiedział jaki niebezpieczny nieprzyjaciel grozi mu z muzyki Szopena, z prostych jego mazurków, zakazałby muzyki, bo dzieła Szopena, to ukryte pod kwiatami armaty."

Ten koloryt narodowy posiada jeszcze tylko muzyka skandynawska i cygańska. Prócz tego posiadają jego utwory cechę szczerości uczucia i ogólno-ludzki typ. Toteż Szopen muzyką swą zbogacił nietylko jeden naród, ale świat cały. Liryka jego wyraża się w motywach nierozwiniętych szeroko, lecz niedługich i w harmonji, w której nawet głosy akompanjamentu zrywają się do śpiewu przychodząc mu w pomoc. Poczucia barwy instrumentalnej Szopen nie posiadał, ani tej męskiej siły i potęgi, która nas w Beetho-

wenie uderza, ale jako mistrz malowania uczuć uduchownił fortepian najwięcej.

J. Maciuch kl. VII.

Dwutysiąclecie Horacego.

Dnia 8 grudnia w 65 roku przed Chrystusem w małej mieścinie włoskiej Wenuzji ujrzał światło dzienne wielki poeta, późniejsza sława nietylko Rzymu, ale i postępu i kultury ogólnoludzkiej. — Quintus Horatius Flaccus.

Dęby szumiącej góry Voltur i rwący potok Aufidus kołysały dziecię, które dopuszczało później do siebie tylko Muzę, bo było „kapłanem Muz" (Carm. III, 16).

Poezja wzniosła Horacego ponad innych poetów starożytnych, wzniosła go nawet ponad poetów greckich, a swemi dźwięcznemi jambami i mądrością nietylko karmiła wieki przyszłe, ale także wychowywała niemal wszystkie pokolenia. Wdzięczna Melpomene horacjańska przemawiała nietylko do ludzi dojrzałych, ale także do serc młodzieży, aby i ona poznała, że „dulce et decorum est pro patria mori" (Carm. III, 2), aby i ona wiedziała, że wyrzuty sumienia dręczą każdego człowieka złego, chociażby nawet był bogaty i uciekał za morza, bo nawet „post equitem sedet atra Cura" (Carm. III, 1).

Nic też dziwnego, że ta natchniona poezja wyniosła go aż do niebios, co sam już poeta przewidział, mówiąc „sublimi feriam sidera vertice" (Carm. I, 12) i że poznał ją cały świat.

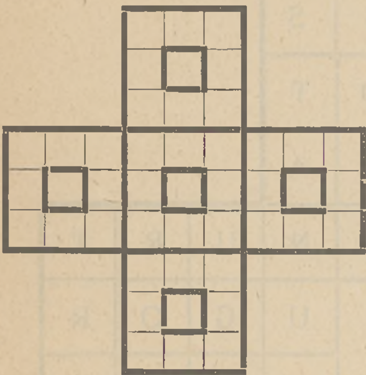
Śmiało więc mógł powiedzieć Horacy w jednej odzie, że pozostawił dzieło trwalsze od spiżu.

On to uczył niemal wszystkich naszych liryków od wieku szesnastego do czasów dzisiejszych. Jego wielka i nieśmiertelna poezja czarowała naszych poetów i była im wzorem. Za te więc wszystkie zasługi winniśmy mu cześć!

E.-T.

Rozrywki umysłowe.

Kwadraty matematyczne (ułożył *J. Papuszka*).



W kwadraty (idąc od górnego, przeciwnie do ruchu wskazówek zegarowych, do środkowego) wstawić odpowiednie liczby, ażeby suma ich w każdym kierunku (pionowo, poziomo i naskos) wynosiła:

1) Kwadrat: liczby od 1-9, suma 15;
2) Kwadrat: liczby od 2-10, suma 18;
3) Kwadrat: liczby od 3-11, suma 21;
4) Kwadrat; liczby od 4-12, suma 24;
5) Kwadrat: liczby od 5-13, suma 27;

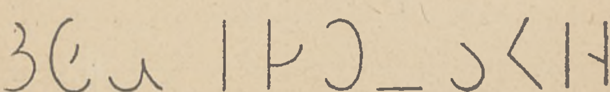
Liczby w oznaczonych kwadracikach dadzą rozwiązanie, a mianowicie: ciąg liczb kolejno następujących po sobie, trórych suma wynosi 35.

Szarada (uł. *„Szkut"*)

Pierwszem uspokajam tajemniczo,
a drugiem i trzeciem... zasadniczo
w opałach wspieram przyjaciela
mądrem słowem.

(Współczucie podziela
Twe trudy, i — choć nie daje rady,
Pozwala odkryć całość szarady.)

Kto odczyta to tajemnicze pismo?



ROZWIĄZANIA Z NR. 1 "NASZEGO BOISKA".

Kwadraty magiczne.

			M	A	R	S			
			A	Z	O	T			
			R	O	S	A			
K	U	R	S	T	A	N	U	R	T
U	D	A	R			U	G	O	R
R	A	N	O			R	O	M	A
S	R	O	M	O	S	T	R	A	N
			O	R	K	A			
			S	K	O	N			
			T	A	N	K			

Konikówka:

Koledzy! — Twarde kładźmy pod gmach podwaliny,
Nie z piachu suchego, nie z kruchej gliny.